TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STR., CHICAGO ILL.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI·

W Stanach Zjednoczonych i Canadzie.. $1.00.

Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyi, Afryki i Australii........ $1.50.

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JE[illegible]IE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 11. Chicago, Ill., Czwartek, 17-go Marca, 1898. Rok XII.

Książę Srebrny.

POWIEŚĆ Z CZASÓW IWANA GROŹNEGO

HR. TOŁSTOJA.

(Z rosyjskiego przełożył W. Grajnert).

(Ciąg dalszy).

— Synu mój — rzekł w końcu starzec — niczego nie ufaj przedemną, mów od samego początku, jakim sposobem wcisnęła się do serca twego nienawiść do cara?

Maksym opowiedział o życiu swem w Słobodzie, o ostatniej rozmowie z ojcem i o nocnej ucieczce.

Mówił wolno, z przestankami, często zbierał myśli, by niczego nie zapomnieć.

Gdy skończył, spuścił oczy i długo nie śmiał wejrzeć na zakonnika, oczekując swego wyroku.

— Czyś wszystko wyznał? — spytał starzec — czy ci nic już nie ciąży na duszy? Czy nie knułeś czego na cara? na Ruś Św.?

Maksym zaświecił oczyma.

— Ojcze mój, prędzej dam sobie odciąć głowę, niźli uknuję co na ojczyznę! Grzeszę nie kochając cara, ale zdrady we mnie nie masz!

Igumen nakrył go stułą (epitrachil).

— Oczyszczon jest niewolnik Boży Maksym — rzekł, a grzechy są mu odpuszczone.

Cicha radość wdarła się do głębi duszy Maksyma.

— Synu mój — mówił dalej starzec — przez spowiedź zostałeś oczyszczonym. Święty kościół nie wini cię, żeś porzucił Słobodę. Uciekać od zepsucia może i powinien każdy. Strzeż się nieprzyjaciela rodu ludzkiego, masz żywy przykład na Kurbskim,

co z wysokiego ruskiego bojarzyna stał się naczyniem djabła.

Tu igumen westchnął i po chwili znów zaczął:

— Najmiłościwszy Bóg zesłał na nas ciężkie czasy, ale myśmy nie powinni sądzić o czynach Jego. Mamy się modlić i ulegać Jego świętej woli. Panuje nad nami car nielitościwy i groźny, nie wiemy za co nas traci i męczy, wiemy tylko to, że jest on posłańcem Boskim i trzymamy pokornie schylone głowy, nie przed Iwanem Wasiliewiczem, lecz przed wolą Tego, co nam go posłał — tak powiedziano jest w Piśmie.

Starzec zdjął z siebie epitrachil.

— Zostań z nami, mój synu — rzekł znowu — pożyj w klasztorze, jak ci będzie czas w drogę, nie przestanę się modlić wraz z braćmi, aby Bóg kierował twemi kroki, a teraz pójdźmy posilić swe ciało. Są tu u nas wyborne karasie, szczupaki; spróbuj no naszego twarogu, wypij winka czeremchowego za zdrowie cara, wielkiego władcy.

W tej to przyjacielskiej rozmowie poprowadził zakonnik Maksyma do stołu.

XXIII.

Droga.

Spokojnie i jednostajnie płynęło życie klasztorne. W wolnej chwili zakonnicy zbierali trawy i przygotowywali krzyże z cyprysu, a inni znów złocili drewniane naczynia.

Maksym pokochał dobrych zakonników; nie zauważył nawet, jak mu czas schodził. Ale po upływie tygodnia postanowił jechać. Jeszcze w Słobodzie słyszał o nowych napadach Tatarów na ziemie Riazańskie, i dawniej już chciał razem z Riazańcami spróbować na nich swej sztuki wojennej. Gdy powiedział o tem przełożonemu, starzec się zmartwił.

— Dokąd chcesz jechać, mój synu — rzekł — wszyscy cię kochamy, wszyscyśmy się do ciebie przyzwyczaili, a kto wie, może i ciebie nawiedzi Boska łaska i na zawsze zostaniesz z nami. Posłuchaj mnie Maksymie i nie odjeżdżaj.

— Nie mogę, mój ojcze, już oddawna los mnie woła w dalekie strony, oddawna już słyszę dźwięk tatarskiego łuku, a nieraz, gdy się zadumam, to czuję, jak mi strzała świszczy nad uchem. Ten łuk, ta strzała mnie wabią.

Nie zatrzymywał już dłużej starzec Maksyma, odprawił dlań na drogę nabożeństwo, pobłogosławił, i smutnie pożegnali się z nim braciszkowie.

I znów ocknął się młodzian na koniu, wśród sędziwego boru, i Bujan znów skakał radośnie i wesoło patrzał na niego.

Nagle kudłacz szczeknął i puścił się w las. Maksym schwycił się za szablę, oczekując wroga, ale na skręcie dojrzał jeźdźca w żółtym kaftanie, z czarnym dwugłowym orłem na piersi.

Jeździec kłusował i gwizdał wesoło, trzymając na pstrej rękawicy białego sokoła z dzwoneczkami.

Maksym poznał natychmiast jednego z carskich sokolników.

— Tryfonie! — zakrzyknął.

— Maksym Grygoryicz — odezwał się wesoło sokolnik, jakże się masz? Toś ty tutaj, a myśmy w Słobodzie już cię mieli za zginionego. A batiuszka twój jaki zły! Boże broń, strach patrzeć! A tu jeszcze różne rzeczy opowiadają o nim, o carewiczu i o Srebrnym; czemu tu wierzyć? No chwała Bogu, żeś się choć ty znalazł, ucieszy się też staruszka matka!

Maksym nie kontent był wcale z tego spotkania, ale Tryfon, jako dobry chłop, umiał w razie trzymać język za zębami. Syn Maluty spytał go, czy dawno ze Słobody wyjechał?

— A już blizko tydzień, jak Adragan uciekł z pola, odpowiedział Tryfon, wskazując na sokoła — ale prawda, że ty nic nie wiesz o tem, aż strach, jak się car na mnie rozzłościł! Ulitował się jednak nade mną Bóg i święty mój patron Tryfon.

Sokolnik zdjął czapkę i przeżegnał się.

— Widzisz Maksymie, kilka dni temu zarządził car ptasią zabawę. Podpuszczał Adragana dwa razy i dobrze, zawsze wrócił na rękawicę, ale trzeciego razu ptak wpadł w szał, zaczął bić swoje sokoły, i zniknął nam z oczu. Popędziłem za nim, ale dokąd

Przepadł, jak kamień w wodę! Donieśli sokolnicy carowi o tem; kazał mnie przywołać Iwan Wasiliewicz, i rzekł: "Ty Tryszka głową mi odpowiadasz za sokoły; znajdziesz — otrzymasz nagrodę, nie -- łeb ci z karku spadnie." Co tu począć? Batiuszka car przecieć nie żartuje. Pojechałem tedy szukać Adragana. Sześć dni się męczyłem, już mnie szyja zaczęła swędzić, myślę sobie: będziesz się musiał z główką rozstać, i zapłakałem. Płakałem, płakałem, ażem ze zmartwienia usnął w lesię. We śnie miałem widzenie, jakoby cały bór był ozłocony promieniem słonecznem, a do ucha donosił mi się wyraźny odgłos dzwona.

— Ho, myślę sobie, to dzwoneczki mojego sokoła! Aż tu patrzę — stoi przedemną cały opromieniony, na białym koniu, młody jeździec, i trzyma na ręku Adragana. Tryfonie —mówi do mnie — nie tutaj szukaj sokoła; wstawaj, idź ku Moskwie, do słobodzkiego gaju, tam na sośnie znajdziesz Adragana. Przebudziłem się, i nie wiem sam dla czego, ale zdawało mi się ciągle, że jeździec był to mój patron, męczennik św. Tryfon. Pojechałem w koń do owego gaju, i czy uwierzysz Maksymie Grygoryiczu, na sośnie siedział Adragan!

Głos sokolnikowi drżał i dwie łzy spadły mu z oczu.

— Maksymie — dodał w zachwycie, wycierając one łzy — niech wszystkie swoje graty, niech wszystko, co mam, sprzedam, a muszę wystawić kaplicę św. patronowi, a w niej każę wymalować św. Tryfona, na białym koniu, z sokołem w ręku, tak, jakem go widział. I cały ród nasz, i ja i żona i dzieci i wnuki będziemy się modlili do niego, jako do dobroczyńcy, co wyratował niewolnika swego od śmierci. A Adragan, widzisz go, cały, caluteńki. — Tryfon zaczął drażnić palcem sokoła — czego krzyczysz? może ci się chce polatać? nie bratku, nie puszczę!

Opowiadanie sokolnika tknęło do żywego Maksyma.

— Przyjmijże i odemnie ofiarę — rzekł, rzucając garść złotych w czapkę Tryfonowi — wszystkie to moje pieniądze, więcej nie mam, a ty będziesz musiał dużo zbierać jeszcze na kaplicę.

— O niech cię Bóg błogosławi, Maksymie, z twojem złotem wybuduję nietylko kaplicę, ale całą cerkiew. Jak wrócę do Słobody, zaraz się pomodlę za ciebie. Na wieki twoim jestem chłopem — co chcesz, rozkazuj.

— Słuchaj Tryfonie, o nic wielkiego cię nie proszę: jak przyjedziesz do domu, ani piśnij żeś mnie widział, a po trzech dniach idź do matki i powiedz jej, tylko jej samej, tak, żeby nikt nie słyszał, że syn jej zdrów z łaski Boga i bije czołem.

— To tylko, Maksymie Grygoryiczu?

— Słuchaj jeszcze, Tryfonie, jadę w daleką drogę, może nie prędko wrócę, więc ty, bądź łaskaw zachodzić czasami do niej i mów, że syn jej zdrów, niech się nie martwi. A gdy matka spyta od kogoś to słyszał? powiadaj, od moskiewskich ludzi, a im mówili inni, a jacy inni nie wiadomo, tylko niech się matka nie martwi, bo jestem zdrów.

— To już Maksymie naprawdę nie wrócisz do Słobody?

— Czy wrócę, czy nie — wie o tem tylko Bóg, ale ty nie mów, żeś mnie spotkał.

— Licz na mnie, Maksymie Grygoryiczu, nie powiem nikomu. Pieniądze ci oddaję, bo Bóg by mnie skarał, żebym cię miał obierać, kiedy jedziesz w daleką drogę.

— A na cóż mi pieniądze? Czyż jesteśmy w basurmańskiej ziemi?

— Twoja wola Maksymie, ale ja ich nie wezmę; żebyś jechał do domu, to co innego, nie będę cię przecież ograbiał na drodze, jak rozbójnik jaki.

Maksym wzruszył ramionami i wyjął z czapki Tryfona kilka złotych.

— Jeżeli ty nie bierzesz — rzekł — weźmie kto inny; mnie są one niepotrzebne — i pożegnawszy się z sokolnikiem pojechał dalej.

Słońce się po trochu chowało. Długi cień przykrył polany. Maksym jechał w towarzystwie ogromnego, czarnego, olbrzyma — to własny jego cień. Olbrzym to biegł po trawie, to się chował pomiędzy krzaki. Bujan także wydawał się jakiemś straszydłem. Wkrótce i Bujan i koń i Maksym zniknęli — nastał zmierzch; już i mgła się pokazała, żuki więc zaczęły latać w powie-

trzu. Księżyc wypłynął z za lasu, tu i owdzie na ciemnem niebie zaświeciły gwiazdy, a tam dalej zasrebrzyło się nieprzejrzane pole.

Ojczyzno ty moja, ojczyzno! Zdarzało się i mnie w późnej porze przejeżdżać przez twoje pustynie. Miarowo stąpał, koń, strudzony dziennym skwarem, ciepły wietrzyk roznosił zapach kwiatów i świeżego siana, i tak było mi słodko, i tak smutnie. I tak myślało się o przeszłem, i marzyło o przyszłem. Miło, miło jest jechać wieczorem po niezaludnionej przestrzeni, to lasem, to niwami, rzucić lejce i dumać, patrząc na gwiazdy.

Dobrą już godzinę jechał Maksym, gdy nagle Bujan podniósł pysk do góry, jakby coś węszył, i zaczął kręcić ogonem. Czuć było zapach dymu. Maksym poznał, że gdzieś blizko muszą znajdować się ludzie, u których będzie mógł noc przepędzić, i puścił się dalej galopem. Jakoż wkrótce ujrzał pochyloną na bok chatkę bez komina; dym wychodził przez otwór w zapleśniałym dachu. W nizkiem okienku połyskiwał ognik. Z chatki donosił się do ucha młodego oprycznika monotonny, cichy śpiew.

Maksym podjechał pod samo okno i mógł rozejrzeć całe to biedne gospodarstwo. Zapalone łuczywo rzucało słaby blask na domowe sprzęty — wszystko tam było stare i poniszczone. Z sufitu wystawał drąg, u którego wisiało z gałganów coś na kształt kolebki, lulki. Kobieta lat trzydziestu, blada, wycieńczona, bujała oną lulkę i nuciła cichutko. Obok niej siedział chłopek o rzadkiej brodzie, i plótł łapcie; dwoje dzieci przewracało się mu u nóg.

Maksymowi się wydało, że kobieta śpiewa coś o jego ojcu, — chybam się przesłyszał — pomyślał, ale nie, wkrótce wyraźnie uderzyło go imię Maluty. Pełen zdziwienia, zaczął się pilnie wsłuchiwać.

— Śpij, uśnij, moje dzieciątko! — śpiewał głos:

Śpij, uśnij, moje dzieciątko,
Śpij, nim burza przyjdzie,
Śpij, nim burza minie!
Lulajże mi lulaj,
Aniołeczku drogi!
Wkrótce minie bieda wielka,
Wkrótce car każe ściąć głowę
Złemu psu Malucie.
Lulajże mi lulaj,
Aniołeczku drogi.

Krwią oblało się serce Maksymowi. Zszedł z konia i przywiązał go u krza.

Głos śpiewał:

Oj ten podły pies Maluta
Zadusił świętego starca,
Świętego starca Filipa.
Lulajże mi lulaj,
Aniołeczku drogi!

Maksym pchnął drzwi nogą — nie mógł wytrzymać.

Na widok bogatego ubrania i złotej szabli oprycznika, gospodarze oniemieli ze strachu.

— Co wy jesteście za jedni? — zapytał Maksym.

— Batiuszka — wyjąkał chłopek — mnie karaj, mnie... ja się nazywam Fedot... a babie nie rób... ona się nazywa Maura.

— Z czego się utrzymujecie, dobrzy ludzie?

— Łyko drzemy, mój drogi, łapcie pleciemy i sita robimy, kupcy przyjadą i kupią.

— A widać mało ich przejeżdża!

— O batiuszka, mało, bardzo mało! Nieraz nie ma co w gębę wsadzić. Patrzeć tylko, jak z głodu lub zimna pomrzemy. A konia nie ma, żeby można towar odwieźć do miasta, już drugi rok jak go wilcy zjedli.

Maksym spojrzał ze współczuciem na ubogą rodzinę, i wysypał na stół swe dukaty.

— Bóg z wami dobrzy ludzie — rzekł, i chciał wyjść.

Gospodarze padli mu do nóg.

— Batiuszka drogi, powiedz nam, ktoś ty, za kogo mamy się modlić do Boga.

— Nie za mnie się módlcie, tylko za Malutę Skuratowa. Ale powiedzcie, czy daleko do Riazańskiej drogi?

— A toć to ona i jest, sokole ty nasz drogi. Chałupka nasza stoi akurat na rozdrożu. Prosto idzie Muromska, na lewo Włodzimirska droga, a na prawo Riazańska. Ale nie jedź teraz, nasz ty drogi, nie jedź batiuszka, nie pora ku temu. Okrutnie

zaczęli dokazywać na tej drodze. Wczoraj cały obóz z winem ograbili. A mówią jeszcze teraz, że i Tatarzy się pokazali. Przenocuj u nas, batiuszka ty nasz, sokole nasz, niech Bóg strzeże, a bo to trudno o nieszczęście?!

Maksym nie chciał się zostać tam, gdzie przed chwilą przeklinano jego ojca. Odjechał, by szukać innego noclegu.

— Batiuszka – krzyczeli jeszcze gospodarze — wróć się sokole, posłuchaj nas, oj nie jedź w nocy tą drogą.

Ale Maksym nie zważał na nich.

Zaledwie przebył kilka wiorst, gdy Bujan nagle rzucił się na ciemny krzak i tak zaczął szczekać zajadle, tak uporczywie, jakby czuł ukrytego wroga.

Napróżno gwizdał nań Maksym. Bujan rzucał się na krzak, wracał cały najeżony i znów rwał się naprzód.

Znudzony ciągłem odwoływaniem psa, Maksym wyrwał szablę i wpadł prosto na ów tajemniczy kierz.

Kilku ludzi z podniesionemi do góry maczugami wyskoczyło mu naprzeciw, a gruby głos krzyknął:

— Z konia go!

— Masz z konia! — odpowiedział Maksym, uderzając najbliższego.

Rozbójnik się potknął.

— Jeszcze nie koniec — mówił dalej Maksym, zamierzając się powtórnie, ale szabla na płask spotkała się z buławą drugiego rozbójnika i pękła na dwoje.

— Ehe, widzisz no zbroję, to opryсznik, żywcem go! — zakrzyknął znów gruby głos.

— Prawda, opryсznik, — powtórzył jaki taki — będzie uciecha!

— Oho, Chłopka już się cieszy!

I w mgnieniu oka wszyscy hurmem rzucili się na Maksyma i ściągnęli go z konia.

XXIV.

Bunt opryszków.

O jakie półtory wiorsty od miejsca napadu na Maksyma, ogromna liczba uzbrojonego ludu siedziała w około beczek z winem, z wybitemi już dnami. Kubki i czarki przechodziły z rąk do rąk. Rozpalone ogniska oświetlały surowe twarze, rozczochrane brody i rozmaite ubiory. Byli tu i nasi znajomi i Andriuszka i Waśka i rudy pieśniarz, ale nie było starego Jastrzębia. Często wychylały dobre chłopy jego zdrowie.

— Eh — mówił jaki taki — co też to się dzieje teraz z naszym dziadziem?

— To się wie że podnoszą go na koziołka i skronie przypalają.

— Ale przecież nie wyda stary czort, ja myślę i słówka nie piśnie.

— Co nie piśnie, to nie piśnie, rwij go w kawałki a nie wyda.

— Szkoda siwej brody! a ataman nasz, nie bój się, nie głupi, sam cały, a starego to im oddał.

— Co to za ataman! bo to ataman, żeby swoich tracić dla jakiegoś tam kniazia!

— Kiedy uważ, oni z kniaziem w wielkiej przyjaźni i teraz razem siedzą. Ty o kniaziu tak nie mów, bo ataman usłyszy; niech Bóg broni!

— To co, niech usłyszy, ja mu w oczy powiem, że on nie ataman, Jastrząb to prawdziwy ataman. Nie bój się, był on solą w oku Pierścieniowi, to go naumyślnie zostawił.

— A co chłopcy, może on i naumyślnie zostawił Jastrzębia?

Głuchy szmer dał się słyszeć między opryсznikami.

— Naumyślnie, naumyślnie wydał — powiedziało wielu.

— Co to za kniaź? — spytał jakiś — po co go trzymają? czy okupu czekają za niego? czy co?

— Nie, nie okupu — wytłómaczył rudy pieśniarz, kniazia, widzisz, car chciał tracić, a on uciekł do nas; mówi: ja was chłopcy sam na Słobodę poprowadzę; ja, mówi, wiem, gdzie leży kasa. Wszystkich, mówi, opryczników wyrżniemy, a skarbem się podzielimy.

— Tak! A czemuż nas nie prowadzi? już trzecią noc tu stoimy.

— Dla tego nie prowadzi, że nasz ataman baba!

— Nie, tego nie gadaj, Pierścień nie baba!

— A jak nie baba, to jeszcze gorzej,

znaczy, że nas durzy!

— Tak, tak, chce carski skarb wziąść dla samego siebie, a nam nawet powąchać nie da!

— Pierścień chce nas sprzedać, jak przedał Jastrzębia.

— Nie na takich on natrafił!

— A starego to ratować nie myśli!

— My i bez niego dziadzia wyswobodzimy!

— Teraz najlepszy czas do tego, car pojechał się modlić, a w Słobodzie połowy opryczników nie ma!

— Podpalimy znów Słobodę!

— Wyrżniemy mieszkańców!

— Precz z Pierścieniem, niech kniaź prowadzi!

— Niech kniaź prowadzi! Niech kniaź prowadzi! — huknęło zewsząd.

Piorunem odbiły się te słowa w najdalszych kółkach opryszków. Wszystko się podniosło z krzykiem i obstąpiło namiot, w którym Srebrny żywą prowadził rozmowę z Pierścieniem.

— Wola twoja, książę — mówił ataman — gniewaj się, nie gniewaj, ale cię nie puścimy. Nie dla tegom cię z więzienia uprowadził, żebyś znów głowę kładł pod topór.

— Głową swoją sam rozsądzam. Niepotrzebnie uprowadzaliście mnie z więzienia, kiedy teraz siedzę w niewoli.

— Eh kniaziu, czy to co wielkiego przeczekać trochę? Car może się rozmyśli, wiele się jeszcze zmienić może, a minie bieda, idź sobie z Bogiem na wszystkie cztery wiatry!

— Cóż robić — dodał, widząc wzrastający gniew na twarzy Srebrnego — takie twoje przeznaczenie, pożyć jeszcze na tym Bożym świecie. Ty, jak widzę, jesteś charakteru twardego, Nikito Romanowiczu, ale i ja nie ustąpię: trafiła kosa na kamień.

W tej samej chwili głosy rozbójników rozległy się u samego namiotu.

— Do Słobody! do Słobody! — krzyczeli pijani opryszkowie.

— Puścimy czerwonego gąsiora do Słobody!

— Puścimy całe stado gęsi!

— Wyratujemy Jastrzębia!

— Wyratujemy dziadzia!

— Wyciągniemy beczki z piwnic!

— Zabierzemy złoto!

— Wyrżniemy opryczników!

— Całą Słobodę wyrżniemy!

— Gdzie kniaź? Niech nas prowadzi!

— Niech prowadzi kniaź!

— A nie, to go na osinę!

— Na osinę! na osinę!

— I Pierścienia także!

— I Pierścienia na osinę!

Pierścień wskoczył na równe nogi.

— Widzisz, co to oni poczynają — rzekł — ja już dawno się przysłuchuję, co oni tak się burzą: jak to się rozochocili! Teraz i sam djabeł nie da im rady! No, kniaziu, stało się wedle twojej woli, nie trzymam cię już, wolnym jesteś. Wyjdź i powiedz, że ich prowadzisz na Słobotę.

Srebrny zmarszczył brwi z gniewu:

— Co? ja mam was na Słobodę prowadzić? Lepiej mnie w kawałki poszarpcie!

— Eh kniaziu, udaj chociaż, że ich słuchasz, bestyjstwo to, zważ, pijane, wytrzeźwieje, to się opamięta!

— Kniaziu — ryczeli opryszkowie — wołają, to wychodź!

— Wychodź, książę — poradził Pierścień — bo wpadną do namiotu i będzie gorzej.

— Dobrze — rzekł Srebrny — zobaczymy jak to oni mnie zmuszą, aby ich prowadzić na Słobodę.

Przy tych słowach kniaź pokazał się rozbójnikom.

— Aha! — krzyknęli ci — wylazł!

— Prowadź nas na Słobodę!

— Bądź naszym atamanem!

— A nie, to pętlicę na szyję!

— Tak, tak! ryczały głosy.

— Bijemy ci czołem, ataman, bo będziesz wisiał!

— Bóg świadkiem, powiesimy!

Pierścień znając gorący charakter Srebrnego, wyszedł także z namiotu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ANTOŚ Z SKALINA

— CZYLI —

CNOTA NAGRODZONA A ZBRODNIA UKARANA.

POWIEŚĆ WIELCE CIEKAWA I MORALNA.

(Dokończenie.)

Ze czcią głęboką, rozrzewnionym głosem i ze łzami w oczach powiedział starzec, iż dobrze Antoś mniema, że jest ktoś taki, który to wszystko zrobił i że tego Wszechmocnego, Najmędrszego i Najłaskawszego, który wszystkie rzeczy stworzył, i który także ludziom dał życie, nazywają — Bogiem, Ojcem naszym w niebie.

Jakiego uczucia doznawał chłopiec wtenczas, gdy słońce pierwszy raz weszło dla niego i pięknemi promieniami swojemi wszystko w około złociło — z takiem, a nawet z większem jeszcze zachwyceniem słuchał teraz rozmowy starca. Myśl o Bogu weszła w serce jego podobnie jak słońce, które oświeciło go całego, rozgrzało i ukazało mu świat ten cały w piękniejszem i powabniejszem świetle. jako zbiór niezliczonych dobrodziejstw pełnego miłości Ojca.

— Tak, kochane dziecię, — mówił dalej Tobiasz postrzegłszy wzruszenie chłopca, — Bóg jest, który to zdziałał wszystko, co widzisz. On utworzył to piękne, błękitne sklepienie, które nazywamy niebem. On zapalił słońce i biegiem jego kieruje, które nietylko ukazuje nam cudowne dzieła Boga i przyświeca nam w naszych zatrudnieniach, lecz także przy jego ciepłych promieniach dojrzewają i gotują się owoce, jak potrawy przy ogniu. Bóg każe wodom hojnie z ziemi wytryskać i z chmur spadać dla napojenia nas i orzeźwienia wszystkiego. On rozsiewał na ziemi pod naszemi stopami różnofarbny kobierzec z trawy i kwiatów. On nadał kwiatom kolory i zapach. On ze skiby ziemi udziela nam pod dostatkiem chleba i sprawia, że z gór płynie dla nas wyborne wino. Z Jego woli gałęzie drzew obciążone są wszelkiego rodzaju owocami, w zielonych dolinach cieką dla nas strugi mleka, a ze skał i drzew wewnątrz próżnych miód się sączy.

— On stworzył drzewo, które nas w lecie cieniem swoim chłodzi, a w zimie palone ogrzewa. On ptaków nauczył pieśni, któremi nas uweselają. On jagnię, co u nóg twych leży, odział miękką wełną, z której twoje i moje suknie są zrobione. On daje nam wszystko, czego potrzebujemy do mieszkania i wygody. On uczynił wszystko tak pięknem, abyśmy w Jego dziełach znajdowali uciechę, ażebyśmy Go kochali i kiedyś do Niego przyszli — do piękniejszych daleko okolic niż te, które tu widzisz, gdzie naówczas przy Nim większej jeszcze rozkoszy doznawać będziemy. A chociaż Go teraz jeszcze nie widzimy, jednak On patrzy na nas wszędzie, słyszy każde nasze słowo i nawet zna myśli nasze. Z Nim każdego momentu możemy rozmawiać. On szczęściem i nieszczęściem naszem kieruje. On cię wybawił z owej jaskini i zaniósł cię tutaj do mnie na rękach. On jest największym dobroczyńcą, najlepszym przyjacielem i najmilszym ojcem.

Z pilną uwagą i wzruszonem sercem słuchał Antoś pobożnego starca i oka z niego nie zwrócił. Wśród tej rozmowy nadeszła noc pierwej, nim chłopiec spostrzegł. Księżyc, który przedtem unosił się na niebie jako mały, ledwo dojrzany obłoczek, świecił się teraz w czystym blasku, a niezliczonem mnóstwem gwiazd błyszczących otoczony, stał wysoko nad jeziorem. Jezioro podobne było do czystego zwierciadła, w którem drugie nie z księżycem i gwiazdami dawało się widzieć i nieskończoną ukazywało przestrzeń. Żaden listek nie ruszał

się na drzewach; milcząca spokojność panowała w około. Nowe, nigdy jeszcze nie doznane uczucie — uczucie nabożeństwa i bliskości Boga odezwało się w duszy Antosia. Potem poważny starzec złożył ręce, spojrzał ku niebu i modlił się głośno — i Antoś wzniósł także swoje ręce po raz pierwszy do nieba i powtarzał każde słowo za starcem. Łzy popłynęły potokiem dobremu chłopcu po twarzy, że Bóg, którego dotąd nie znał, wyświadczył mu jednak tak wiele dobrego. A gdy starzec zakończył modlitwę, Antoś na większą jego radość dodał jeszcze z własnej ochoty te słowa:

— Dziękuję Ci jeszcze, miły Boże, żeś mię uwolnił z ciemnej jaskini i zaprowadził do tego dobrego człowieka, który mi tak wiele pięknych rzeczy i pocieszających o Tobie powiedział. — Ojciec Tobiasz wziąwszy potem chłopca za rękę, zaprowadził do swojej celi. Tu zrobił mu posłanie z miękkiego mchu, nad którym rozesłał kobierzec i przykrył chłopca swoim płaszczem.

ROZDZIAŁ XI.

Podróż w górach.

Przez lato zatrzymał Tobiasz chłopca przy sobie, ażeby go więcej nauczyć i odzwyczaić od niektórych wyrażeń i złych nałogów, jakich był nabrał w zepsutem towarzystwie. Myślał także, że tu przy prostym pokarmie i zdrowem w górach powietrzu najlepiej chłopiec przyjdzie do siebie, gdyż mieszkając pod ziemią bardzo był wybladł i znędzniał, a tak rodzice jego tem większą będą mieli radość. Jakoż wkrótce zaczął Antoś na nowo rozkwitać, stawał się pięknym i nadobnym jak róża w promieniach porannego słońca.

Niegdyś ojciec Tobiasz daleko chodził i wiele miast zwiedził. Na jesień postanowił wziąć znowu swój kij pielgrzymski i powrócić między ludzi dla szukania rodziców dziecięcia. Prosił był ojca owego młodego pasterza, który dziecko do niego przyprowadził, pobożnego i rozsądnego rolnika w głębi gór mieszkającego, ażeby przyjął do siebie chłopca, póki sam po niego nie przyjdzie. Tam naprzód chciał zaprowadzić Antosia.

Pewnego pięknego poranku jesiennego obudził chłopca, poszedł z nim do kaplicy i zmówił gorącą modlitwę, żeby Bóg błogosławił tę podróż. Zjadłszy potem śniadanie i zaopatrzywszy się w żywność, udał się Tobiasz w drogę, a Antoś towarzyszył mu uradowany. Ku południowi przybył do wysokiej skały, po której wyniosłości pasły się kozy. Tu w cieniu usiedli dla odpoczynku i zjedli mały obiadek.

Chłopczyk pasterza kóz przyszedł do Tobiasza dla pocałowania mu ręki. Antoś podskoczył i krzyknął zdziwiony:

— O, mały człowiek, jak i ja! To przedziwnie! O tem wcale nie wiedziałem, że jeszcze jest wiele małych ludzi; rozumiałem, że ja sam jeden jestem na ziemi. Wszak ty pójdziesz z nami, nieprawdaż? — Pastuszek podjął się nieść kobiał Tobiasza. Szli więc razem dalej, a Antoś tak był zajęty rozmową z pastuszkiem, że prawie na nic więcej nie zważał.

Potem weszli do małej zielonej doliny między wysokiemi skałami, gdzie się stado owiec pasło, właśnie do tego człowieka należące, do którego szedł Tobiasz. Antoś nadzwyczajnie się cieszył z dwóch małych jagniąt, które zaledwie po kilka dni miały, i głaskał je pieszcząc się z niemi.

Tymczasem starzec oglądał się za pasterzem. Na ustroniu pod skałą urwistą, z której czyste źródło wypływało, spostrzegł siedzącą dziewczynę, w jednej ręce kij pasterski, a w drugiej księgę trzymającą. Zbliżył się ku niej. Miała ona białą odzież i zielony kapelusz. Jej rysy twarzy były bardzo łagodne, a w wejrzeniu przebijała się ukryta boleść. Nie widziała ona jeszcze nigdy ojca Tobiasza; lecz poznała go zaraz z opisu; wstawszy więc, pozdrowiła go uprzejmie.

Tobiasz rzekł do niej:

— Musisz nie długo jeszcze być przy tej trzodzie. Gdy niedawno mówiłem z człowiekiem, do którego ona należy, nic mi o tobie nie wspominał. — Odpowiedziała dziewczyna, że już od kilku lat pasie owce w górach, lecz do tego dobrego człowieka dopiero przed kilku dniami weszła w służbę.

— Zkądże jesteś, pytał dalej, i dla czegoś tak smutna? — Dziewczyna zaraz zalała się łzami.

— Ach, rzekła, daleko ztąd jestem. Nierozsądny postępek młodości mię wprawił w największe nieszczęście. Służyłam u bardzo dobrych panów, z lekkomyślności opuściłam ich jedyne ukochane dziecię na kilka minut. Wtem zostało od zbójców porwane. Z boleści i żalu nie mogłam dłużej wytrzymać przy mojej dobrej pani i schroniłam się w góry. Tu żyję teraz w samotności i proszę codziennie Boga, żeby oddalił nieszczęście przezemnie sprowadzone, wrócił stracone dziecię i żal niewymowny matki znowu zamienił w radość. Bóg przecie ulituje się nad łzami mojemi, które On sam tylko wi dzi płynące.

Rozczulony ojciec Tobiasz rzekł:

—*Myślę, że Bóg w tym momencie wysłuchał twe proźby. — Wyjął portret matki Antosia, który wziął był z sobą w drogę dla łatwiejszego znalezienia matki, pokazał go dziewczynie i rzekł:

— Znasz tę twarz? — Dziewczyna przelękniona wykrzyknęła z radości:

— O Boże! to jest twarz pani z Skalina, matki porwanego dziecka!

Na ten krzyk dziewczyny przybiegł Antoś. Patrzał na nową postać rozwarłszy oczy i rzekł z politowaniem:

— Czego płaczesz, co ci jest? Może jesteś głodna? Masz tu chleb i dwa jabłka, jedz!

Lecz Tobiasz rzekł do dziewczyny:

– Patrz, ten chłopczyk jest dzieckiem, które razem z portretem porwane było. — Wtenczas zdawało się dziewczynie, że serce jej się rozedrze z przerażenia zmięszanego z radością. Upadła na kolana i zawołała z wzniesionemi ku niebu rękami:

— Tak, łaskawy, miłosierny Boże, wysłuchałeś proźby moje, które we dnie i w nocy do Ciebie zasyłałam. Spojrzyj teraz łaskawie na moje dziękczynienie, którego wymówić nie zdołam! — Potem uściskała Antosia wśród łez gorących.

— O niechaj cię Pan Bóg błogosławi, drogi Antosiu, — zawołała; — więc znowu ciebie Bóg nam darował! O czyż ty pewnie tylko jesteś, czy nie marzę we śnie? — Tak, tyś to sam, tak podobny jesteś do ojca, jak dwie krople rosy. O jakże się ucieszy twoja matka! Weselże się i ty także; oto idziemy teraz do twego ojca i do twojej matki!

Ojciec Tobiasz otarł łzę z oka i powiedział:

— Bądź pochwalony łaskawy Boże! Widoczna jest Twoja święta opatrzność nad tem dziecięciem. Ty ocierasz łzy tej biednej dziewczynie i wracasz strapionym rodzicom ich ukochane dziecię. Pierwsze kroki moje zaraz wieńczysz błogosławieństwem i oszczędzasz mi staremu człowiekowi długiego szukania. Twoja łaska i miłosierdzie niech będą wiecznie wielbione!

Szedł potem Tobiasz z Antosiem i Małgorzatą do mieszkania poczciwego rolnika, o ćwierć mili oddalonego. Mały pastuszek został tymczasem przy owcach.

— Czy to mój ojciec i moja matka? — zapytał się Antoś, gdy rolnik i jego żona z uprzejmością spotykali ich we drzwiach swojego domku, i bardzo żałował, gdy się dowiedział, że to nie są jego rodzice. Posiliwszy się tu cokolwiek, udali się w dalszą drogę w towarzystwie młodego pasterza, syna poczciwego rolnika. Wieczorem zeszli z gór w dolinę, gdzie Antoś bardzo się zdziwił nad ilością domów jednej wsi wielkiej; nazajutrz o świcie odjechali ztąd na wozie, którym zręczny młodzieniec wybornie kierował, a za trzy dni spodziewali się stanąć w Skalinie.

ROZDZIAŁ XII.

Niespodziane odwiedziny.

Pierwszego dnia szła podróż wyśmienicie. Jazda, coraz nowe miejsca, wsi i zamki, które jakby przelatywały mimo wozu, nadzwyczajną sprawiały radość Antosiowi: a ile razy zobaczył zamek na dalekiej górze, pytał się zawsze, czy to nie jest Skalin.

Lecz drugiego dnia ku wieczorowi wjechali do gęstego lasu. Drogi tak były złe, że ledwo dawały się przebyć. Nadto wszczął się straszny wicher i deszcz lał strumieniami. Nadeszła noc bardzo ciemna. Podróżni nasi byli zmuszeni zatrzymać się na noc w

karczmie wśród lasu, która z rozbojów powszechnie była znaną. Zjadłszy więc cokolwiek, udali się na spoczynek, ażeby nazajutrz bardzo rano dalej wyruszyć. Znużeni drogą wkrótce zasnęli wszyscy; tylko Tobiasz, który Antosia położył u siebie w izdebce, nie szedł jeszcze spać, lecz uklęknąwszy przed stołem, na którym paliła się świeca, czytał i modlił się aż do północy.

Wtem nagle powstał wielki hałas przed domem. Kilka grubych głosów męzkich dało się słyszeć. Stukano gwałtownie do drzwi i okiennic. Wszyscy w domu przestraszeni porwali się ze snu. Ojciec Tobiasz wyszedł ze swojej izdebki.

— Ach Boże! zawołała do niego Małgorzata: — Lękam się, czy nie są to zbójcy i czy nie chcą znowu porwać nam małego panicza. — Tobiasz przykazał jej się uciszyć, a sam wyszedł. Gospodarze także zdawali się być bardzo przelęknieni i mówili, że nie śmią drzwi otworzyć. Ludzie zaś na dworze dobijali się ciągle i grozili, że drzwi wyłamią.

Tobiasz będąc człowiekiem odważnym, rzekł:

— Drzwi nie mogą nas obronić, lecz Bóg będzie naszym ratunkiem i tarczą. W Jego ręku zostajemy wszyscy. Zobaczymy, czy z tymi ludźmi dobrocią czego nie zyskamy.

Otworzył drzwi; wpadło czterech uzbrojonych ludzi brodatych, silnych jak dęby, a jeden z nich trzymał pochodnię.

— Musimy wszystkie izby tego domu obejrzeć, — zawołali, — nasz pan zaraz z wielu ludźmi nadejdzie i cały dom musi być dla niego wolny. — Tobiasz zapytał, kto jest ich pan? — a ich odpowiedź sprawiła w nim równie wielkie jak przyjemne zdziwienie. Był to Sławomir, ojciec Antosia.

— Pan nasz, — odpowiadali słudzy, — został był wprawdzie ciężko rannym, lecz wkrótce się wyleczył, i nie chciał opuścić służby w wojsku, walcząc dopókiby pokój nie stanął. Teraz pokój jest zawarty, i pan z nimi i z resztą swoich ludzi, którzy nie zostali pogrzebani nad granicą turecką, wraca do domu.

Wiadomość o zawartym pokoju napełniła wszystkich radością. Wszyscy w karczmie ubiegali się w usłużeniu walecznym wojownikom. Ci także byli bardzo uprzejmi i poufali i uniewiniali się z swojej gwałtowności dokuczającą niepogodą. Opowiadali także, że pewnoby zabłądzili w ciemnym lesie i nie znaleźli tej karczmy; lecz paląca się świeca prowadziła ich jak gwiazda i pomagała im do trzymania się pewnej drogi.

Tobiasz miał zwyczaj upatrywać we wszystkiem ślady opatrzności Boskiej; przeto mała ta okoliczność, że świeca, przy której się modlił, była przewodniczką Sławomirowi, bardzo rozrzewniła pobożnego starca i dziękował serdecznie Bogu za tak szczęśliwe zdarzenie.

ROZDZIAŁ XIII.

Radość szlachetnego ojca.

Tymczasem przybył Sławomir, urodziwy i przystojny mężczyzna. Wziął zaraz ojca Tobiasza do swojej izby, posadził go, kazał przynieść swego wina, nalał starcowi pierwszą czarę i wypił za jego zdrowie, trąciwszy z nim czarą według dawnego zwyczaju.

— Serdecznie cię pozdrawiam, szanowny ojcze! rzekł Sławomir. Po takiem strzęsieniu się na koniu, a zwłaszcza przy tak burzliwej niepogodzie miło jest wejść pod dach i do ciepłej izby. Wszelako milszą mi jest daleko pobożność i otwartość twojej twarzy, mocno mię cieszy jej widok — i muszę ci zaraz z gruntu serca mojego się wynurzyć. Wszyscy moi ludzie, jak widzisz, są weseli i ochoczy, gdyż po wielu krwawych bojach i trudach wracają do domu. Lecz ja, ich dowódzca — jak to nieraz na tym świecie się zdarza — jestem sam jeden między nimi smutny. Lękam się, że u mnie w domu nie wszystko tak pomyślnie się wiedzie, jakby należało. Żona moja wprawdzie dobrze się miewa; lecz o mojego jedynego syna bardzo jestem niespokojny. Od dawna już żona moja nie pisała mi nic pewnego o nim, a nareszcie w ostatnim liście swoim doniosła, że go już pewnie na tym świecie nie zobaczę. Znasz się, ojcze To-

biaszu, z wielu rycerzami, bo sam przed laty byłeś dzielnym wojownikiem. Jesteś właśnie w podróży może i dalekie strony zwiedziłeś. Nie wiesz przypadkiem, co się dzieje w Skalinie? A jeżeli nic dobrego powiedzieć nie możesz, daj mi przynajmniej jaką pociechę.

Ojciec Tobiasz z najweselszą jak może być twarzą odpowiedział:

— W tym względzie mogę wam najpomyślniejszych wiadomości udzielić. Syn wasz jest zdrów i najmilszy chłopiec, jakiego w życiu mojem widziałem.

— Znasz więc go? — zawołał skwapliwie Sławomir.

— Znam bardzo dobrze, odpowiedział Tobiasz. Wszelako w czasie oddalenia się waszego na wojnę rozmaite przygody jemu się wydarzyły. — Tu ojciec Tobiasz opowiedział wszystko zdumionemu Sławomirowi, co tylko sam o dziecięciu wiedział; a na potwierdzenie tego, co wyrzekł, pokazał mu piękny wizerunek jego żony.

— Tak, to ona; rzekł Sławomir, poznaję jej rysy. Wyglądaż i teraz równie świeżo? Biedna kobieta, jak wiele, ach jak wiele ucierpiała! Ale gdzież jest teraz dziecię!

— Tutaj w tym domu! — rzekł Tobiasz.

— W tym domu? — zawołał Sławomir.

— O czemużeś mi zaraz tego nie powiedział, starcze? natychmiast prowadź mię do niego.

Tobiasz wziął świecę ze stołu, a Sławomir szedł za nim do izdebki, gdzie spał miły chłopczyna. Sławomir nie mógł się do woli napatrzyć na Antosia przy blasku świecy.

— Jak dobrze się złożyło, rzekł Tobiasz, Bóg dzieciom swoim daje szczęście we śnie. — Lecz rycerzowi stanęły łzy w oczach.

— Mój Boże, rzekł, kiedym odchodził na wojnę, było to jeszcze płaczliwe niemowlę, a teraz tak piękny z niego chłopiec. O droga, najmilsza żono! Teraz dopiero rozumiem twoje listy i dziękuję ci za twoję troskliwość w oszczędzeniu mi najboleśniejszego żalu. Antosiu, luby Antosiu, zawołał potem tuląc go do siebie i ucałował z lekka, obudź się, patrz, twój ojciec! — Antoś przecierał sobie oczy, pozierał na ojca i nie mógł zaraz ze snu przyjść do siebie:

— Ty jesteś moim ojcem? — rzekł nakoniec ucieszony z łagodnym uśmiechem: — o dzięki Bogu! Czy matka jest także z tobą? — Wziął Sławomir syna na ręce i zalał się słodkiemi łzami.

— Święta opatrzność Boga, — rzekł, — cudownie cię zachowała, kochane dziecię. Nie umiem znaleźć słów na podziękowanie Bogu, że mi powrócił ciebie.

— Ani ja też, — rzekł Antoś.

— Dobry Bóg; tak On jest łaskawym dla nas, że nam tak wiele rozkoszy sprawuje. — Uradowany Sławomir nie mógł się nacieszyć z syna, gdy ten zupełnie ocuciwszy się ze snu wesołe i żywe dawał odpowiedzi i zapytania.

— Tobiaszu, — rzekł, — ileż wdzięczności winien ci jestem? cały mój majątek nie starczyłby ci w nagrodę twoich nauk, które w chłopca wpoiłeś.

Małgorzata w tej chwili weszła także do izby i z nieśmiałością stała w oddaleniu. Sławomir uprzejmie ją pozdrowił, podał rękę i ośmielił pocieszającemi słowy.

— Ale ci łotrzy, — rzekł gniewliwym tonem, — ciężko mi zbrodnie swoje odpokutują. — Tejże nocy jeszcze wysłał najodważniejszych ze swoich drabów z rozkazem wyszukania ich w kryjówkach i przyprowadzenia złapanych do Skalina. Potem znowu rozmawiał z synem i całą noc przepędziłby był z nim na rozmowie, gdyby Tobiasz nie przypomniał jemu, że wszyscy potrzebują spoczynku, ażeby jutro zawczasu wesoło i rześko przybyć do Skalina.

ROZDZIAŁ XIV.

Matka pocieszona.

Tymczasem dobra i zacna Renata siedząc w swoim zamku Skalinie pędziła dni w smutku i strapieniu. Otrzymała była zaraz wiadomość o pokoju i spodziewała się ujrzeć prędko swojego męża, lecz to ją do łez wzruszało.

— Boże dobrotliwy, — mówiła, — jakże jestem nieszczęśliwa! Co świat cały radością napełnia, to mię niewypowiedzianym

smutkiem dręczy. Każda uboga żona wyrobnika cieszy się z powrotu swojego męża — a ja o przybyciu mojego nie mogę bez trwogi pomyśleć. Ach, co za boleść oczekuje go; w jaki sposób objawię mu okropny wypadek z dziecięciem! Dla nas dwojga pewnie już nigdy na tym świecie nie wybije godzina wesela! — Smutek jej ciągły był nie do opisania. Nigdzie nie znajdywała pociechy, ani spokojności. Chodziła już to z jednego pokoju do drugiego, już do kaplicy zamkowej, już do ogrodu. Gdziekolwiek szła lub stanęła, przesyła w sercu westchnienia do Boga. Jedyną ulgę miała w modlitwie i wspomnieniu, że Bóg rządzi losem ludzi i najdotkliwsze przeciwności do szczęśliwego końca doprowadzić może.

Właśnie oddaliła się była znowu do najskrytszego zakątka ogrodu i długo płacząc gorzkiemi łzami, rzekła nareszcie:

— Boże najłaskawszy, zlituj się nademną, zlituj się nad mężem moim — ukróć okropne cierpienia moje — gdyż to w Twojej tylko jest mocy! Niech nasze spotkanie będzie w radości. Twoja najmędrsza wola rozłączyła ojca, matkę i dziecię daleko od siebie i rozproszyła ich po świecie — wróć nam ukochane dziecię i zbierz znowu razem nas troje. Niezliczone już łzy osuszyłeś, otrzyj także i moje! Ty jesteś najlitościwszym i największe masz upodobanie przemieniać smutek w radość. O Ojcze, Ojcze najmilszy, lubo jestem grzeszną, jestem jednakże Twoją córką, mogę Ciebie Ojcem mym nazywać — i wzywam z ufnością według przykazania Twojego Syna. Ty zapewne bardziej mię kochasz, niż ja moje dziecię! Usłysz więc, usłysz prośby moje i nie oddalaj od siebie Twojego dziecka, Twojej córki, dla której żadnego oprócz Ciebie nie masz ratunku.

Gdy tak się modliła, posłyszała czyjeś stąpanie. Obejrzała się — aż oto Małgorzata, która właśnie z towarzystwem swojem przybyła, szła cienistym szpalerem prosto ku miejscu, gdzie siedziała Renata. Promień nadziei wszedł do jej serca, gdy poznała Małgorzatę i wesołą twarz dziewczyny ujrzała: zdawało się jej, że widzi anioła niebieskiego.

— O droga, łaskawa pani, — zawołała Małgorzata, — najpomyślniejszą przynoszę ci wiadomość o twym ukochanym Antosiu. Żyje on — i wkrótce go ujrzysz. — Tylko co Małgorzata zaczęła opowiadać, zaraz przystąpił ojciec Tobiasz, ażeby przygotować Renatę na przybycie jej syna i męża. Mądry ten człowiek umiał wszystkiem roztropnie rozrządzić. Renata była już w najlepszej nadziei, że syna i męża zobaczy za kilka dni, i poprowadziła Tobiasza do pokoju, w którym dawniej z Antosiem mieszkała.

Lecz tu ledwo otworzyła drzwi — niespodzianie widzi spieszącego naprzeciwko sobie męża z synem na ręku. Nic więcej nie była w stanie wymówić jak te słowa:

— O mężu! o synu! — i upadła na ramiona Sławomira. Długo zostawała bez mowy, wylewając łzy rozkoszy już na twarz dziecięcia, już na swojego męża.

— Teraz chętniebym umierała, — rzekła nakoniec, — gdy tego dożyłam! O jak cudownie Bóg wszystkiem rządzi. Drżałam na myśl spotkania ciebie, kochany mężu, bez naszego Antosia; a ty oto w pierwszym momencie naszego ujrzenia się przynosisz mi go na swoich rękach! Boże, w całem życiu mojem nie zdołam Ci złożyć dziękczynienia, że to okropne zdarzenie radosnym skutkiem zakończyłeś. Póki życia mojego, nie będę nigdy rozpaczać w cierpieniu. Ty wszystkiemu umiesz szczęśliwy nadać koniec. Mój Antosiu, jak miłym chłopczykiem w tym czasie zostałeś! Mój mężu, jak błogie spotkanie zgotował Bóg dla nas! Rozdzielił nas wszystko troje i znowu nas połączył cudownym sposobem. Jemu niech będzie cześć, chwała i dzięki! — Wszyscy troje wylewali łzy radości i dziękczynienia ku Bogu; Małgorzata płakała także, i ojciec Tobiasz rozrzewniony w duszy nie mógł od łez się wstrzymać.

Po uspokojeniu się pierwszego wezbrania radości zaczął Antoś opowiadać matce swoje przypadki. Mówił o nich z wielką żywością, a matka musiała raz płakać, raz się uśmiechać. Szczególniej żywo wystawiał ów moment, kiedy przez rozpadlinę skały pierwszy raz na świat wyszedł. Z większą jeszcze radością i wzruszeniem mówił o tej pamiętnej chwili, gdy Ojciec Tobiasz

pierwszy raz mu powiedział o Bogu, a łzy stały mu ciągle w oczach, gdy o tem wspominał.

— W samej rzeczy, rzekł Sławomir, życzyłbym sobie prawie, żebym także wiek mój dziecięcy przepędził w jaskini. My zanadto oswojeni jesteśmy z widokiem wspaniałych dzieł Boga. O gdybyśmy równie jak Antoś przyszedłszy już do rozumu, mogli jednym razem ujrzeć twory Boga, jak silne uczyniłyby na nas wrażenie. Boże dobrotliwy, jakżebyśmy się zdumiewali nad Twoją wszechmocnością i mądrością i cieszyli się z Twojej dobroci — z jakiem przekonaniem na widok Twojego pięknego nieba i cudownej ziemi uczulibyśmy tę prawdę, że co tak serce przenika, w sercu pełnem miłości ma źródło.

Renata zaś mówiła:

— Czego Antoś doznawał, gdy z podziemnego mieszkania pierwszy raz wyszedł na tę piękną ziemię Boga, tak będzie kiedyś z nami, kiedy z tego życia ziemskiego przejdziemy do wiecznego w niebie. Myślę bowiem, że jak zabawki Antosia, owe kwiaty, jagnięta, drzewa, z których on nie mało się cieszył w swej jaskini, były tylko niedoskonałym obrazem tychże samych prawdziwych tworów Boga, tak też pewnie wszystkie widoczne ponęty i rozkosze tego świata są zaledwo cieniem przeciw rozkoszom niebieskim. Jedna tylko rozkosz na ziemi, zobaczenie miłych nam osób po długiem bolesnem rozłączeniu, może nam dać wyobrażenie o owej w niebie radości, gdy tam się ujrzymy z miłemi osobami; gdyż zaprawdę w tej godzinie naszego rozłączenia się czuję się być tak szczęśliwą, jak gdybym już była w niebie.

Potem rzekł poważny ojciec Tobiasz:

— Przyznaję, że wasze uczucia, zacne państwo, są piękne i budujące. Lecz istotna nauka, jaką nam Antoś przykładem swoim przed oczy stawia, jest ta: mądrość, dobroć i miłosierdzie Boga świecą tak jawnie na niebie i ziemi, że nawet dziecko może ich ślady spostrzedz i poznać Stwórcę w stworzeniu.

ROZDZIAŁ XV.

Cnota nagrodzona, zbrodnia ukarana.

Po kilku dniach przybyli do Skalina słudzy Sławomira z bandą łotrów, których szczęśliwie wszystkich w jaskini znaleźli. Za nimi szedł wóz naładowany skrzyniami pełnemi zrabowanych bogactw, a na przodzie siedziała stara cyganka. Zbójcy zaniechali byli zupełnie szukać zgubionego chłopca; gdy bowiem drzwi żelazne znaleźli zamknięte, a o rozpadlinie skały, przez którą uciekł, nic nie wiedzieli, gdyż do niej prowadzący loch był tak niebezpieczny i grożący zasypaniem, że nie śmieli do niego wchodzić; rozumieli więc, że Antoś albo wpadł do jakiej niezmiernej jamy starej kopalni, albo gdzie przywalony zapadłym lochem żywcem pogrzebiony został.

Rozbójnicy przeto bardzo zdziwieni byli, gdy przy wejściu do Skalina ujrzeli chłopca w bramie zamkowej z ojcem stojącego, i nie mogli pojąć żadnym sposobem, jak mógł wyjść przez drzwi żelazne.

— Rozumieliśmy, odezwał się z gniewem dowódzca, że nikt w świecie nie dostoi z nami w przebiegłości i męstwie, a teraz nawet dziecko musiało nas podejść i przyprowadzić spętanych w więzach. To już do żywego oburza. Teraz wszelako wyznaję, czemu nigdy wierzyć nie chciałem, że starego złodzieja kulawy kat dopędzi. — Ów muzykant z cymbałami, który się także między nimi znajdował, mruczał przed sobą:

— My porwaliśmy to dziecię, aby nam kiedyś na ratunek służyło; ale teraz toż samo dziecię przyprawiło nas o zgubę. Nie naprózno to ludzie mówią: kto drugim dołki kopie, sam w nie wpada. — Młody rozbójnik, który dla Antosia był tak grzecznym i uczynnym, i który miał nie zupełnie jeszcze zepsute serce, rzekł:

— Pan Bóg tak zrządził, że dziecko uciekło i cieszę się, że żyje, chociaż przez to głowę moję utracę. I tu znowu pokazał Bóg swoję wszechmocność, ratując niewinność, a karząc występnych. Teraz sprawdza się to, co moja matka zawsze mi powiadała: chociażby się złoczyńca w środek ziemi schował, potrafi go jednak znaleść niepobłażająca sprawiedliwość Boga i odda pod ka-

rę zasłużoną.

Gdy Antoś zobaczył młodzieńca w kajdanach między zbójcami, ulitował się nad nim i prosił ojca usilnie, aby nie krzywdzono tego biednego człowieka, który mu tak wiele dobrego wyświadczył. Odpowiedział Sławomir, że na teraz nic jeszcze nie może o nim wyrzec, ale obiecał jak najłagodniej, wedle swojej możności, z nim się obchodzić. Gdy się przy śledztwie okazało, że ten człowiek nigdy krwi nie wylewał i więcej był sługą zbójców niż ich współbratem, przeto nie został na śmierć skazany, ale jednak na więzienie do końca życia. Lecz Sławomir wyjednał powolniejszą karę, iż miał być wziętym do domu poprawy, aż dopókiby nie dał dostatecznych dowodów zupełnego polepszenia się swojego, poczem znowu miał otrzymać wolność powrócenia do swoich krewnych.

— Pamiętaj o tem, rzekł Sławomir do niego przy odprowadzaniu, że jak żadne przestępstwo nie ujdzie kary, tak każdy dobry uczynek otrzymuje nagrodę. Złagodzenie twej kary winien jesteś swej uprzejmości dla mojego syna. Prócz tego jeszcze, odpłacę to biednej matce twojej, co ty dla mojego syna czyniłeś. Bądź roztropnym i staraj się, abym cię mógł prędko do niej odesłać.

Inni zbójcy otrzymali krwawą zapłatę, na jaką zasłużyli za swoje zbrodnie. Cyganka wsadzona była na zawsze do więzienia. Zrabowane bogactwa oddano właścicielom, którzy się znaleźli, za resztę zaś, na wstawienie się Sławomira, zbudowano wielki dom sierot.

Małgorzata została jak dawniej w służbie Renaty, i po długich cierpieniach powróciła do życia wesołego. Ogrodowczyka Jurka musiano już dawno odprawić za lekkomyślność i niedbalstwo; oddawał się był prócz tego pijaństwu i innym rozpustom, dla których w najpiękniejszym wieku młodości umarł z suchot. Młody pasterz z gór hojnie udarowany od Sławomira, odjechał do swoich rodziców.

Poczciwego ojca Tobiasza pragnąłby był Sławomir na zawsze w zamku swoim zatrzymać. Został on wprawdzie przez czas niejaki; lecz nie dał się do tego nakłonić, aby swoją pustelnię zamienił na mieszkanie w pałacu, temi wymawiając się słowy:

— Chcę resztę dni moich poświęcić samemu Bogu, i mniemam, że tego najlepiej w samotności dopełnię. Byłem już długo na świecie i wiem z doświadczenia, co się na nim dzieje. Do lepszego gotować się świata, to jest wszystko, co dla mnie na tym świecie czynić pozostaje. — Przy pożegnaniu, które było bardzo żałosne, błogosławił poważny starzec Sławomira, Renatę i Antosia, który z trudnością dał się od niego odłączyć. Cała rodzina przeprowadzała starca za bramę zamkową do powozu. Wsiadł Tobiasz, jeszcze raz spojrzał mile na wszystkich i rzekł, nim powóz odjechał.

— Żyjcie szczęśliwi, a pokój Boży niech będzie z wami. W niebie zobaczymy się znowu!

KONIEC.

W. BOGUSŁAWSKI.

CUD

CZYLI

KRAKOWIACY I GÓRALE

W TRZECH ODSŁONACH.

(Ciąg dalszy).

Bryndus.

Nie, tego nie daruje, niechaj mie pioruny
Ubiją, jezeli się nie pomsce za taką
Ksywdę: dalej chłopaki na krypy! do wiosła!

Bardos *(n. s.)*

Muszę ja tu uzdeczkę wdziać na tego osła,
Bo coś brykać zaczyna.
(Głośno).
Mospanie, wszelako
Należy się posłuchać, kiedy dobrze radzą.
Jeźli WPan masz szkodę, to i Pan Bartłomiej,

I przyszły mąż, sowitą nagrodę Wam dadzą,
Byleś się chciał pogodzić.

Morgal *(patrzy na Bardosa z pogardą).*

Ot! to mi
Człek do rady!

Bryndus.

Co djabeł psyniósł tu tego łajdaka.

Bardos *(n. s.)*

O, ten człowiek wcale się nie zda na dworaka,
Coś nie umie pochlebiać.

(Głośno).

Ale mój Mospanie!
Cycero tak powiada.

(Wchodzi pomiędzy Górali).

Morgal *(przyskakując do niego).*

Cicho! ty gałganie!
Bo jak cię tem obuskiem zacne wej okładać,
To ty i twój Psycerok psestaniecie gadać.

(W tym Bartłomiej zdejmuje kapelusz zmęczony, i zasypuje mu oczy).

Bardos.

Cóż robić na takowe niewolące proźby?
Trzeba ustąpić.

Stach.

Ale Mospanie Bryndusie,
My to nie wiele zwazamy na groźby,
Prose psestać, bo my tes wej zacniemy.

Bryndus.

Da się
To widzieć, dalej za mną bracia! nic nie dbajcie,
I w zadne się jus z niemi rozmowy nie wdajcie.

(Górale zabierają się do kryp).

SPIEWY.

Bryndus.

Wnet poznacie zemstę moję,
Ja się tych groźbów nie boję,
Nic gorsego nad Górala,
Gdy go słusny gniew zapala.

Stach i Jonek.

Psecie chciejcie tylko słuchać,
Wsak my nie chcem wasej skody,
Nie damyć se w kase dmuchać,
Ale skłonniśwa do zgody.

Bryndus i Morgal.

My nie chcemy zgody z wami,
Wnet tu będziem, lec nie sami,
Wkrótce załować będziecie,
Ze nas tak zniewazać chcecie,

Góralki.

Mój ty Panie Bryndus miły,
Nie chciej sprawiać nam boleści,
Wsakze my cie zawse ściły,
Jak psystoi płci niewieści.

Bardos.

I ja także choć wziętości,
Niedoznałem u was wiele,
Jednak się poddać ośmielę,
Tę uwagę dla Waszmości,
Że kiedy się dwaj pokłócą,

Morgal i Swistos *(przerywając mu).*

To tseciemu gzbiet wymłócą,
Pats, by cię to nie spotkało.

Bardos *(n. s.)*

O zuchwałe, głupie gbury,
Gdyby mi się to udało,
Jakżebym wam łatał skóry.

Górale wszyscy.

Dalej bracia! nie cekajcie,
I od lądu odbijajcie.
Wnet my tutaj pokazemy,
Jak się ksywdy mścić umiemy.

Krakowiacy wszyscy.

Stójcie bracia! zacekajcie!
Racej z nami tu zostajcie,
Wsakze my się zgodzić chcewa,
Chocias pobić was mozewa.

(Wszyscy Górale i Góralki, wsiadają na krypę i odpływają z krzykiem).

SPRAWA XV.

POZOSTALI.

Dorota.

Zjes djabła, mas ta teras, będzie tutaj biedy,
Pewnie do dworu jadą.

Bartłomiej.

I cós ztąd?

Dorota.

A kiedy
Nam kazą wej płacić wsystkie pretensyje,
Które do nas porobią te wściekłe bestyje,
To człowieka z ostatniej zedrą kosuliny,
A wsystko dla psich figlów, tej głupiej dziewcyny.

Bardos *(n. s.)*

Bardziej pewno dla twoich.

Bartłomiej.

Ale moja zono,
Kiej się jus wej tak stało, niech będzie skońcono.

Jonek.

Moja pani młynarko, jus się nie spsecajta,
Bądźcie gzecni i Basię Stachowi oddajta.

Dorota.

Nie, nigdy nie pozwolę, idź sobie do carta.

Jonek.

A, jakaś to złośnica, jak djabeł uparta.

Bardos *(n. s.)*

Stachu, już ty jej, widzę, inaczej nie zbędziesz,
Przyrzec jej, że po ślubie, kochać się z nią będziesz,
A jak dostaniesz Basię, już ja w to poradzę,
Ze ją gładkim sposobem od ciebie odsadzę.

Stach *(do Doroty).*

Moja Pani Doroto, poruscies się psecie.

Dorota *(do Stacha).*

A dałeś mi całusa?

Stach.

Dam, wiele zechcecie.

Dorota.

Będzies mnie kochał?

Stach.

Będę.

Dorota.

Chyba, ze das słowo?

Stach.

Słowo.

Dorota.

Słuchajcie, kiedy jus wselka pseskoda
Załatwioną została, ja jestem gotowa
Psystać na to, by Stach miał Baśkę zoną.

Bardos.

Zgoda!
Wiwat! więc wygraliśmy, teraz tedy pójdźmy,
I dzień ten w wesołości powszechnej obchodźmy,
Górale tu już więcej pewno nie przyjadą,
Chyba chcieliby napaść na was jaką zdradą.
Ale ja z pewnych znaków kalendarskich wróżę,
Ze już uciekli.

SPRAWA XVI.

Pastuch *(płynie szybko na łodzi, głośno krzyczy).*

Ratuj! kto słysy!

Basia.

O Boze!
Cós to jest?

(Pastuch wchodzi zadyszany).

Pastuch.

Dalej, prędzej zbiezcie się, kto cuje,
Niechaj biegnie, swe bydło cym prędzej ratuje,
Wsak Górale na ludzi nasych się porwali,
Związali ich, i wsystko bydło im porwali.
Pędzą go tam do lasu, nic nie zostawili,
Nawet owce i świnie do kupy spędzili.

Jonek.

Dalej chłopcy do pałek! siadajwa do łodzi,
Biezcie siekiery, cepy, niech kazdy psychodzi.

Pastuch.

Ale oni ruśnice i sturmarki mają,
Kto się do nich psyblizy, jak w dziki stselają.

Stach.

Strasny ozug w dłoni, gdy kto swego broni.

(Krakowiacy odchodzą).

Basia.

Ach! moja krowa łysa.

(Ciąg dalszy nastąpi).